

Niewidzialni. Ukraińcy pracują jak niewolnicy

Pascale Müller, Agata Szymańska, Eugen Szachowskoj
13.03.2020



Oszukany, a czasem bity i więziony przez szefów. Ukrainiec w Polsce i w Niemczech cierpi w milczeniu. Po 90 dniach, kiedy kończy mu się pozwolenie na legalny pobyt w naszym kraju, musi wracać do domu. Bez pieniędzy, które mu się należały. Ten schemat powtarza się tysiące razy.

Dziennikarze pracujący dla niemieckiej redakcji serwisu BuzzFeed News przez rok prowadzili śledztwo w sprawie wykorzystywania pracowników z Ukrainy w Niemczech i w Polsce. Znaleźli możliwe powiązania z podejrzaną siecią rosyjskich i czeczeńskich przestępców. Nie mają własnej redakcji w naszym kraju, więc materiał zebrany w Polsce udostępnili redakcji „Gazety Wyborczej”. Efektem naszej współpracy jest poniższy multimedialny reportaż. Ze względu na wagę tematu i fakt, że w Polsce mieszka i pracuje ponad milion obywateli Ukrainy, zdecydowaliśmy, że opublikujemy go bezpłatnie. Jeśli znacie osoby, które może zainteresować opisana tu historia, opowiedzcie im o niej i prześlijcie dalej link.

●●●

14 zł dziennie. Za taką kwotę Jarosław Ihnatjiv musi kupić wszystko, co trzeba. Jedzenie – najlepiej tosty i mrożone mięso mielone. Niewielkie doładowanie telefonu komórkowego, żeby dzwonić do córek i żony na Ukrainie. Czasami papierosy – bo bez nich robi się nie do zniesienia.

Ihnatjiv pracuje w gdańskiej firmie budowlanej dziewiąty miesiąc. Nagle szef przestaje mu płacić. Przypomina sobie tamtą rozmowę:

- Szefie, kiedy otrzymam pensję?
- Jarek, w piątek będzie zaliczka. No, może w sobotę...
- Ale kiedy będzie pensja? – dopytuje pracownik.

Odpowiedzi brak.

Ihnatjiv pracuje i czeka. Mija miesiąc.

Pisze do swojego szefa SMS-y, wciąż do niego dzwoni. Mijają dwa miesiące.

Sypia w tanich hostelach, w mieszkaniach znajomych. Przestaje wysyłać pieniądze dla swoich dzieci. Mijają trzy miesiące.

Zaczynają się bóle głowy. Nie chcą ustąpić. Do tego kłopoty ze snem. Mijają cztery miesiące.

Ihnatjiv buduje domy dla Polaków przez sześć dni w tygodniu, pracuje 12 godzin dziennie.

W rodzinnej wiosce Jarosława na zachodniej Ukrainie nikt nie wie, co się dzieje. Rodzina widzi tylko, że przestają przychodzić pieniądze.

Ihnatjiv siedzi w małym mieszkaniu w Gdyni i opowiada o tych miesiącach. Wspomnienia są wciąż żywe. – Wciąż boli mnie głowa, dlatego trudno mi mówić – wyjaśnia. Firma, w której pracował przez prawie dwa lata, nosiła nazwę Euromurbet.

Przez osiem miesięcy wszystko było dobrze i wtedy Jarosław postanowił ubiegać się o kartę pobytu, która pozwoliłaby mu na pobyt czasowy w Polsce. Od tego momentu nie otrzymał żadnej pensji. Szef wciąż jest mu winien prawie 13 tys. zł. Ihnatjiv dowiedział się, że nie miał ubezpieczenia zdrowotnego. Najprawdopodobniej szef nie zarejestrował go prawidłowo.

BuzzFeed News ma kopię umowy podpisanej przez firmę z Ihnatjivem w czerwcu 2017 r. Nie ma w niej informacji o tym, na jak długo zostaje zatrudniony. Nie wiadomo, czy to umowa na czas określony, czy nie. Brakuje informacji o wysokości zarobków.

Firma Euromurbet nie odpowiedziała na szczegółowe pytania i prośbę o komentarz do zarzutów stawianych przez pracownika.

Teraz Jarosław pracuje dla innej firmy budowlanej. Cieszy się, że jego szef to uczciwy człowiek. Dostał już zaliczkę za przepracowany okres próbny. Szef udostępnił mu auto, którym dojeżdża do pracy, oraz mieszkanie, w którym mieszka z żoną. – Przyjechałem do pracy w poniedziałek, a w czwartek miałem już swój numer w kadrach i zaświadczenie o zameldowaniu – mówi Ihnatjiv. – Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Szacuje się, że w Polsce mieszka i pracuje ponad milion Ukraińców. Stanowią największą mniejszość narodową w naszym kraju. Od czerwca 2017 r. mieszkańcy Ukrainy mogą wjeżdżać do Polski bez wiz, przebywać i pracować przez 90 dni. Od tego czasu wiele osób przyjechało szukać zarobku – także nielegalnie. Często pracują w katastrofalnych warunkach.

W Niemczech takiego wyzysku nie widać gołym okiem, jest lepiej ukryty, jak choćby w domach jednorodzinnych na przedmieściach Hamburga, co pokazuje śledztwo niemieckiego BuzzFeeda. W Polsce co najmniej dwie historie wstrząsnęły całym krajem.

Wasyl Czornej w lipcu 2019 r. zemdlął podczas pracy w fabryce trumien. Zamiast wezwać pogotowie, szef wywiózł go do lasu. Czornej zmarł, jego ciało odnalazł leśnik.

Oksana Charczenko w styczniu 2018 r. dostała w pracy udaru. Jej pracodawca, rolnik i dostawca warzyw dla dużego supermarketu, zawiózł ją na przystanek autobusowy. Dopiero stamtąd zadzwonił na pogotowie, podając się za zatroskanego przechodnia. Mimo rehabilitacji kobieta nie odzyskała sprawności. Zmarła na początku tego roku.

Śmierć dwojga Ukraińców to mroczny przykład tego, co może spotkać pracowników z tego kraju w Polsce. BuzzFeed News rozmawiał z trzema innymi pracownikami, którzy twierdzą, że w Polsce byli wykorzystywani, a nawet więzieni i bici. Tym, co przeszli, nie chcą dzielić się nawet ze swoimi rodzinami.

Na prośbę rozmówców zmieniliśmy ich imiona.

Masza opowiada dziennikarzom BuzzFeed o swojej pracy przy zbieraniu wiśni. Musiała mieszkać razem z innymi Ukraińcami w namiotach, brakowało im jedzenia. Zabrano im paszporty. Kiedy wraz z kolegami Masza zaczęła narzekać na warunki pracy, zamknięto ich w piwnicy, gdzie nie było nawet wiadra, do którego mogliby się załatwiać. Według niej na farmie byli ochroniarze, którzy mieli bić ludzi kijami. – Gdzie miałam uciec? Tam było tylko pole, a oni mieli samochody. Przyprawdzą cię z powrotem. Nie masz papierów, żadnych pieniędzy. Nigdzie nie możesz uciec... – mówi Masza.

Natalia sortowała zużyte ubrania w magazynie pod Łańcutem. Pracująca tam Polka odebrała jej paszport pod pretekstem wyrobienia wizy pracowniczej i zgłoszenia do ubezpieczenia zdrowotnego. – Nikt nie myślał o tym, że to podejrzane – mówi Natalia. Wraz z innymi spała w dużych halach w przeciągu, bez pościeli, bez ogrzewania. Odebrano im telefony komórkowe. Nie otrzymywali zapłaty, więc gdy przyszło prawosławne Boże Narodzenie, przestali pracować. Wtedy samochodem przyjechali jacyś mężczyźni. Nie przywieźli spodziewanych pieniędzy, zamiast tego pobili pracowników. – Baliśmy się, że się stąd nie wydostaniemy – mówi Natalia. – Przyjechałam do Polski pod koniec listopada 2015 r. Dopiero na początku lutego 2016 r. pozwolono nam odejść.

Mychajło tak jak Jarosław Ihnatjiv pracował na budowie. W lutym 2017 r. mieszkał w namiocie. Pamięta, że było bardzo zimno. Nie płacono im przez miesiąc, opiekunowie przynosili tylko papierosy. Gdy Mychajło i jego koledzy spytali o wypłatę, przyszli do nich mężczyźni z bronią. – Ciesz się, że dajemy ci jedzenie i miejsce do spania, dopóki nie skończysz pracy – mieli usłyszeć.

Kiedy odchodził, usłyszał groźbę: – Nikomu nic nie mów, bo policzymy się z twoimi bliskimi.

BuzzFeed News nie był w stanie zweryfikować historii Mychajły, Natalii i Maszy, bo żadne z nich nie otrzymało umowy. Nie mieli też żadnych innych dowodów – zdjęć ani wiadomości. Jednak doradcy ukraińskiej infolinii ds. przeciwdziałania handlowi ludźmi, gdzie ta trójka szukała pomocy, uznali ich za wiarygodnych. Infolinia ściśle współpracuje z Międzynarodową Organizacją ds. Migracji (IOM) na Ukrainie. Blisko jedna piąta ofiar handlu ludźmi zidentyfikowanych przez IOM w 2018 r. to ludzie wykorzystani w Polsce. Ich liczba rośnie.

Po ponad miesiącu pracy bez wynagrodzenia Jarosław Ihnatjiv również zadzwonił na infolinię. Po kilku rozmowach i weryfikacji jego przypadku doradcy uznali go za potencjalną ofiarę handlu ludźmi i pracy przymusowej. – Jego historia jest typowa – ocenia konsultantka gorącej linii Oksana Szliusar. Według IOM zdecydowana większość ofiar handlu ludźmi jest zmuszana do pracy. Ponad połowa to mężczyźni, wielu z nich pracuje na budowach.

Jarosław Ihnatjiv przyjechał do Polski bez wizy. Żeby legalnie pracować, musiał znaleźć pracodawcę, który wypełni dla niego papiery. Nie może po prostu zmienić pracodawcy, bo zostanie wydany. Daje to pracodawcy wielką moc. Pracownicy bywają szantażowani. – Stajesz się zależny od pracodawcy, który może okazać się oszustem – mówi Jarosław.

Ihnatjiv nie jest jedynym pracownikiem, który twierdzi, że został wyzyskany przez Euromurbet. Serwis BuzzFeed News rozmawiał z czterema kolejnymi osobami, którym ta firma również płaciła zaniżoną pensję albo nie płaciła wcale. Jedną z nich jest Witalij, który nie chce ujawniać swojego nazwiska. Podaje, że pracował dla Euromurbetu od lutego 2018 r. do lutego 2019 r. razem z Jarosławem Ihnatjivem. Firma zalegała mu z wypłatą za ponad dwa miesiące.

– Moje pierwsze wrażenie z placu budowy było takie, że to coś w rodzaju... więzienia. Nie wiem... Takie właśnie miałem okropne wrażenie – mówi w rozmowie telefonicznej z BuzzFeed News. Musiał ręcznie ciągnąć materiały budowlane, do których Polacy użyliby dźwigu. – To było nieludzkie – skarży się. Najpierw szef Euromurbetu miał wstrzymać wynagrodzenie z powodu rzekomych naruszeń przepisów BHP. Na przykład gdy pracownicy zapomnieli założyć okulary ochronne. W pewnym momencie płatności zostały całkowicie wstrzymane. Szef miał wówczas zapytać Witalija, po co w ogóle potrzebuje pieniędzy. Witalij próbował zawiadomić władze.

Euromurbet nie odpowiedział na prośbę o komentarz również w jego przypadku.

Z trzema innymi byłymi pracownikami Euromurbetu spotkaliśmy się w pełnym komarów parku na przedmieściach Gdańska w sierpniu 2019 r. Mężczyźni opowiadają, odpędzając natrętne owady. Oleg i Bogdan to ojciec i syn. Obaj są doświadczonymi strażakami, zmienili imiona. Pracowali dla firmy przez cztery miesiące. Jak twierdzą, Euromurbet jest im winny kilkaset euro.

Ojciec Olega przez 20 lat pracował w straży pożarnej, przeszedł na emeryturę w wieku 54 lat. Dostaje zaledwie około 90 euro miesięcznie. To za mało, żeby przeżyć.

Bogdan opowiada, że w końcu któregoś dnia stanęli przed budynkiem Państwowej Inspekcji Pracy. Stamtąd zadzwonili do szefa firmy Euromurbet. Zagrozili, że zgłoszą, że nie płaci im pensji. Kopie umów Olega i Bogdana są w posiadaniu BuzzFeed News. Nie ma w nich określonego czasu pracy. Mamy też dostęp do planów pracy na poszczególnych zmianach, które są dowodem, że pracowali dla firmy we wrześniu 2018 r.

Przedstawiciel firmy Euromurbet przyszedł natychmiast. Wręczył im do ręki równowartość około 1 tys. zł i obiecał, że wkrótce dostaną resztę. Ale tak się nie stało – w końcu minęło 90 dni, przez które Oleg i Bogdan mogli legalnie przebywać w Polsce, i musieli wrócić na Ukrainę. Ten schemat powtarza się w Polsce tysiące razy.

Euromurbet nie odpowiedział na szczegółowe pytania BuzzFeed News w sprawie zarzutów stawianych przez mężczyzn. Polska inspekcja pracy odpowiedziała nam, że jeszcze nie przeprowadziła w tej firmie kontroli.

Ukraińska gorąca linia, która przyjmuje zgłoszenia dotyczące handlu ludźmi, zna ten mechanizm: ludzie najpierw dostają zaliczkę, a później już tylko puste obietnice. – W tym czasie są zmuszani do pracy i znajdują się pod kontrolą pracodawcy – mówi konsultantka Oksana Szliusar. – Nie mogą wrócić, nic zmienić, a za swoją pracę nie dostaną pieniędzy.

Mężczyźni, z którymi rozmawiam na ławce w parku, pracują za granicą od lat. Są przyzwyczajeni do tego, że często nie dostaje się zapłaty, i do mieszkania w obskurnych kwaterach. Nie są całkowicie świadomi niesprawiedliwości, którą im wyrządzono, bo przyzwyczaili się do takich warunków.

– W Rosji było gorzej. W porównaniu z tym w Polsce jest dobrze – mówi Wiktor. Szefowie Euromurbetu wysyłali swoich ludzi do nielegalnej pracy w Niemczech. – To była elegancka budowa przy granicy niemieckiej – opowiada. Pracował nielegalnie, więc nie godzi się na podanie swojego prawdziwego imienia.

Spotykamy go innego dnia na blokowisku.

Wiktor od lat pracuje za granicą – w Polsce, Czechach, Rosji, Niemczech.

– Kto raz wyjedzie, wyjedzie ponownie. Tak samo jest u prawie wszystkich. Wmawiasz sobie, że „następnym razem będzie inaczej” – opowiada Wiktor. Prawdopodobieństwo, że coś złego wydarzy się za granicą, ocenia na 50:50. Jego syn studiuje na politechnice w Kijowie. – Życie w tym mieście jest bardzo drogie, syn musi wynająć mieszkanie. Musiałem wyjechać, bo moja ukraińska pensja nie wystarczała na opłacenie tych potrzeb – tłumaczy Wiktor. Mając prawie 50 lat, czuje, że robi się zbyt stary na takie wyjazdy. Przez pół życia pracował za granicą – w Polsce, Niemczech, Czechach, Rosji. Kiedy o tym opowiada, niemal przypadkowo pojawiają się zdania, które dają wyobrażenie o tym, co musiał przeżyć:

„Z Niemiec praktycznie musieliśmy uciekać”.

„W Czechach zostałem pobity”.

„W Polsce to normalne, że wypłata się opóźnia. Nic nie możesz na to poradzić”.

W Niemczech przez mniej więcej dwa tygodnie pracował dla szefa firmy Euromurbet i jego wspólnika na budowach, m.in. w Feuchtwangen w Bawarii oraz pod Berlinem. Budował dla dużych niemieckich sieci supermarketów. Ludzie nie zawsze dostawali wypłatę, w jednym z miejsc usłyszał nagle: – Coś jest nie tak z twoimi dokumentami. Zostań w domu.

Przez kilka dni nie pojawiał się na budowie. Potem pracodawca oznajmił: – Musisz stąd odejść, w przeciwnym razie zostaniesz wydalony.

– I o to chodziło. Powiedziano nam, że wypłatę wstrzymują niemieccy celnicy. Myślę, że działał taki system: płacimy dwie wypłaty, a trzeciej już nie – wspomina Wiktor.

Do Polski wrócili służbowym samochodem, choć część podróżujących nim mężczyzn obawiała się aresztowania. Mieli fałszywe paszporty. Nikt ich jednak nie skontrolował. Wiktor się nie bał, bo nie pierwszy raz był w takich tarapatach.

Również na prośbę o komentarz do jego historii Euromurbet nie udzielił odpowiedzi.

Ihnatjw stoi na balkonie małego mieszkania w Gdyni i pali. Mieszka tu z żoną i innymi pracownikami nowej firmy, dla której pracuje. Jego żona i on mają dla siebie pokój. Oboje wyglądają na zmęczonych, są wychudzeni. Kiedy wracają wieczorem do domu, zwykle jest już ciemno; mają jedynie trochę czasu na jedzenie i od razu idą spać.

– Jak to możliwe, że wszyscy w Polsce oszukują i nikt z tym nic nie robi? Przymykają nie jedno oko, lecz oboje. Spotkałem się z tyloma przypadkami oszustw i żadna firma, żaden pracodawca nigdy nic nie zrobił. Nikt nie został pozwany – dziwi się Ihnatjw.

Po Euromurbecie pracował dla dwóch innych firm budowlanych, które mu nie płaciły. Żeby cokolwiek zarobić, starał się łapać prace dorywcze.

Jego żona przynosi kawę. Wraz z Jarosławem pochodzą z tej samej wioski na zachodniej Ukrainie, znają się od dzieciństwa. Mówią, że ich dom jest mały. Ogrzewa się tylko piecem, więc zimą bywało bardzo zimno, a kiedy padał śnieg, nie da się przejechać samochodem. Ihnatjw w 2014 r. uczestniczył w konflikcie z Rosją o Krym, został ranny przez minę. Z balkonu wskazuje na pobliski las i dodaje, zaciągając się papierosem: – Front był tak blisko.

Teraz jego dzieci mieszkają z babcią, jego teściową. Jarosław i Lilia codziennie starają się porozmawiać z nimi przez telefon, ale to trudne – w domu babci często nie ma zasięgu. Drugi problem to różnica czasu. Żona Ihnatjiwa pracuje w firmie sprzątającej, często wraca do domu dopiero o 23 polskiego czasu. Na Ukrainie wtedy jest już północ, dzieci od dawna śpią.

To paradoks. Polska w dużym stopniu polega na pracownikach z Ukrainy, przedstawiciele pracodawców od dawna wzywają polski rząd do poprawy polityki imigracyjnej. Jednak zrobiono niewiele, żeby pomóc ludziom takim jak Ihnatjw. Międzykulturowy konsultant, z którym rozmawiamy, streszcza to następująco: – Ukraiński pracownik jest jak zając na polu, wokół którego stoją tylko wilki. Wszyscy próbują go upolować i wykorzystać.

Olga Dobrowolska jest prawniczką i pracuje dla organizacji pozarządowej Stowarzyszenie Interwencji Prawnej w Warszawie. Organizacja wspiera uchodźców i migrantów w legalizacji pobytu w Polsce. – Dużo się mówi o pracownikach, ale nikt nie mówi o zatrudniających ich nielegalnie polskich pracodawcach. Jakby pracownicy mieli jakiś wybór – mówi. I dodaje, że brakuje kampanii informacyjnych i ofert pomocy skierowanych do pracowników. To właśnie oni zazwyczaj ponoszą odpowiedzialność a nie pracodawcy.

– Wszystkie formalności są związane z konkretnym pracodawcą – mówi Dobrowolska – tak że całe życie cudzoziemca zawsze zależy właśnie od tego pracodawcy.

Kolejny problem: Państwowa Inspekcja Pracy uprzedza o terminie kontroli. Ludzie skarżyli się, że szefowie mówili im: „Tego dnia proszę nie przychodzić do pracy!”.

PIP wyjaśnia, że poza zapowiedzianymi kontrolami prowadzi również te niezapowiedziane, które zdarzają o każdej porze dnia i nocy. Szczególnie jeśli urzędnicy podejrzewają naruszenia prawa. Inspekcja wyjaśnia, że uprzedza o planowanej wizycie tylko wtedy, gdy ma pewność, że nie wpłynie to na wynik kontroli.

Jarosław Ihnatjw pamięta taką kontrolę latem 2019 r. u jego ówczesnego pracodawcy. Szef powiedział mu, żeby został w domu. W tej firmie również próbował pracować legalnie, ale proszony o papiery szef odpowiadał tylko: „Porozmawiamy o tym jutro”.

– Dlatego tak ważne jest, żeby wzmocnić prawa pracownicze migrantów – mówi Dobrowolska. Jej organizacja dostaje tyle próśb o pomoc, że nie jest w stanie odpowiedzieć wszystkim. Do tego organizacja nie jest finansowana przez państwo. Problemów coraz więcej, pieniędzy coraz mniej.

Winna jest również polityka. Anna Tatar, działaczka antyrasistowskiej organizacji Nigdy Więcej, zwraca uwagę na antyukraiński nacjonalizm, który sprzyja wyzyskowi siły roboczej. Podsyca go część prawicowych polityków. Część z nich – mimo bardzo niewielkiego bezrobocia w Polsce – przekonuje, że Ukraińcy zabierają Polakom pracę. W latach 2016-17 dochodziło do antyukraińskich demonstracji pod hasłem: „Nie dla imigracji ze wschodu”. Jak ocenia Anna Tatar, nacjonałiści często mówią o Ukraińcach, jakby byli oni ludźmi drugiej kategorii, choć pracownicy z Ukrainy są dziś ważną częścią polskiej gospodarki.

Z polskich dworców co kwadrans odjeżdżają autobusy na Ukrainę. W małym pomieszczeniu na gdańskim dworcu autobusowym Grażyna Klepacka sprzedaje bilety od 17 lat. Zdarza jej się często rozmawiać z podróżnymi, szczególnie z kobietami, które siedzą w poczekalni. – Jeśli rozmawiamy trochę dłużej niż pięć minut, w ich oczach pojawiają się łzy. Podziwiam tych ludzi, bo zostawienie własnych dzieci musi być okropne. Oni nie robią tego, żeby kupić nowy samochód. Przyjeżdżają tylko dlatego, że nie mają za co żyć – mówi. I dodaje: – Kobiety są odważne. Ale kobiety są wszędzie odważne...

Gdy podjeżdża autokar z Ukrainy, wysiadają zmęczeni pasażerowie. Wielu ma ze sobą plastikowe torby i tanie walizki na kółkach. Już na dworcu autobusowym witają ich ogromne billboardy i kolorowe ulotki z numerami agencji zatrudnienia.

Kiedy Ihnatjw i jego żona zaoszczędzą wystarczająco dużo pieniędzy, wsiądą do jednego z tych autobusów. Z Gdańska do Tarnopola jedzie się ponad 20 godzin. To prawie 900 kilometrów.

Większość ludzi jeździ nocą. Rozkładają podłokietniki krzeseł, pary podróżują, opierając o siebie głowy. Autobusy często mają kilka godzin opóźnienia, w środku jest duszno i gorąco, ogrzewanie jest zwykle włączone, cicho gra radio. Krajobraz za oknem znika, gdy robi się ciemno. W ciemności widać tylko rozświetlone szyldy burdeli i Aroma Kava – takiego ukraińskiego Starbucksa.

Samochody przebijają się przez kontrole na granicy. Po polskiej stronie jest szybciej, ale po stronie ukraińskiej czas płynie wolniej i trzeba czekać dłużej. Zmienia się godzinę w zegarkach i karty SIM w telefonach.

Z Tarnopola do Bolizubów – rodzinnej wioski Ihnatjiwa i jego żony – jedzie się 40 minut. Jest tam kilka domów, fontanna, niebieska cerkiew na wzgórzu; na podwórkach gęgają gęsi. We wsi mieszka tylko około 300 osób, większość wyjechała. – Wioska umiera. Wkrótce nie będzie niczego – wzdycha Wasyl Ihnatjiw, ojciec Jarosława.

W Bolizubach zostają tylko osoby starsze i dzieci. Po wyjeździe syna rodzice Jarosława sprzedali część pól i krowy. Nie mają już sił się nimi zajmować, ale i tak wstają o szóstej, żeby zaopiekować się kozami, kotami, psami, indykami i gołębiami.

Wasyl Ihnatjiw dostaje emeryturę w wysokości 2 tys. hrywien, czyli zaledwie 66 euro miesięcznie. To za mało, żeby pomóc synowi. – Nie wiem, jak tam przeżył – mówi starszy mężczyzna.

●●●

Śledztwo niemieckiego BuzzFeeda

Dziennikarze pracujący dla niemieckiej redakcji BuzzFeed News przez rok prowadzili śledztwo w sprawie wykorzystywania obywateli Ukrainy w Niemczech i Polsce. Ustalili, że ludzie kuszeni fałszywymi obietnicami przez nieuczciwych pracodawców, sieci przestępcze i agencje pracują dla niemieckich firm. Według BuzzFeed News ofiarami oszustw mogły paść tysiące osób. Żyją i pracują w warunkach, które można określić mianem nowoczesnego niewolnictwa. Wiele z nich nie ma świadomości, że ich pobyt jest nielegalny. Później są szantażowane. Często pracują bez żadnych pieniędzy.

W Niemczech dziennikarze znaleźli ośmioro ukraińskich pracowników, którzy twierdzą, że byli wyzyskiwani, pracując nielegalnie dla niemieckich firm logistycznych na północy kraju. W tym procederze mogą uczestniczyć rosyjskie i czeczeńskie grupy przestępcze.

Eksperti ds. zwalczania handlu ludźmi, związkowcy i prawnicy z Polski i Ukrainy mówią o narastającym problemie. – Pod presją kryzysu gospodarczego ludzie przyjmują coraz bardziej ryzykowne oferty pracy – mówi Irina Mydlowiec, ekspertka ds. zwalczania handlu ludźmi Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM) w Kijowie. Szacuje, że niemal co piąta osoba na Ukrainie jest gotowa przyjąć tzw. ryzykowną ofertę pracy, która może uczynić z niej ofiarę handlu ludźmi.

Nową, coraz większą rolę w rekrutacji odgrywa Facebook. Przez sześć miesięcy BuzzFeed News obserwował kilka rosyjskojęzycznych grup, w których udostępniono liczne fałszywe lub związane z wyzyskiem oferty pracy w Niemczech; dotyczyły m.in. pracy na plantacji truskawek w pobliżu Osnabrück, w magazynie pocztowym, w żłobku albo pracy dla kierowców aut dostawczych.

Tekst: Pascale Müller, Agata Szymańska, Eugen Szachowskoj

Wersja polska: Jarosław Kopeć, Katarzyna Korzeniowska, Dominik Uhlig, Weronika Fabjańska

<https://extra.nyborcza.pl/ukraincy-w-polsce>